



AKACJA

Ewa Schilling

Ewa Schilling

AKACJA

© Copyright by
Ewa Schilling & e-bookowo
Grafika na okładce: Ewa Schilling
Projekt okładki: e-bookowo

ISBN 978-83-7859-439-0

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie II 2014

WRZOSOWISKO

— Kim jesteś? — spytałam. Nachyliłam się ku twarzy widniejącej w wykrocie; sterczały nad nią korzenie dębu.

Riches I hold in light esteem

And Love I laugh to scorn

And lust of Fame was but a dream

That vanished with the morn¹ —

— Wariatka — pomyślałam, słysząc ten niedorzeczny wiersz, mówiony po angielsku. Podejrzenie okazało się słuszne: spod wytartego żołnierskiego płaszcza wyglądał charakterystyczny brunatny ubiór pensjonariuszy tutejszego domu wariatów. Po przyjeździe Rosjan można było natknąć się gdzieś niedaleko na trupy tych, co uciekli ze szpitala. Na naszym własnym strychu znaleźliśmy zgwałconą i powieszoną kobietę w identycznym ubraniu. Ta w wykrocie przyjrzała mi się błyszczącymi oczami, najwyraźniej zadowolona z udzielonej odpowiedzi.

— Dobrze, ale skąd się tu wzięłaś? — nie ustępowałam. Nie zdziwiłabym się w lutym, ale był już listopad. Dawno wrócili do domu ci, którzy ukrywali się w ziemiankach, jak pani Taube z rodziną. Było zimno i w lesie nierosły nawet ostatnie grzyby. Sama się właśnie rozczarowałam, bezskutecznie grzebiąc w mchu. Zebrałam tylko trochę chrustu i przed chwilą dostrzegłam tę kobietę.

¹ Bogactwa lekce sobie ważę / Z miłości drwię boleśnie / Sława mi była czczym mirażem / Co rozwił się dość wcześniej — początek wiersza Emilii/ Bronte ***
Riches I hold in light esteem w przekładzie Stefana Stasiaka.

Zaczęła mówić szybko i bardziej do siebie niż do mnie. Skleіłam z tych słów historię, która wyglądała w miarę prawdopodobnie — uciekła ze szpitala i dzięki niezwykłemu szczęściu nie zamarzła i nie została zastrzelona przez Rosjan, lecz trafiła do jednej z ziemianek, w której pozwolono jej zostać. Potem albo ona stamtąd poszła, albo ludzie z ziemianki zdecydowali się wrócić do domów, dość, że błąkała się po lesie, coś pewnie w nim zbierała, a resztę kradła po wsiach, bo na samych jagodach z pewnością by nie przeżyła. Była zabiedzona, wychudzona jak szczapa i bardzo brudna. Trzymała w ręce pozwijane szmaty, kryjące pewnie cały jej dobytek.

— A jak chcesz przeżyć zimę? — zainteresowałam się. Było mi nieco mniej nieswojo, odkąd przekonałam się, że potrafi mówić do rzeczy. Zrobiło mi się jej żal. Przypominała tamtą kobietę powieszoną na strychu.

— Mogłabyś mi pomóc — powiedziała gdybyś chciała. Mogłabyś mnie schować na strychu albo w szopie.

— Rosjanie już poszli. Polacy nie strzelają — stwierdziłam. — Wyjdź po prostu do ludzi, nic ci się nie stanie.

— Zamkną mnie z powrotem — odparła. — Nie mogę jeszcze iść między ludzi — nagłym ruchem schowała twarz w dłoniach — boję się. Muszę odpocząć, muszę dojść do siebie... Nie mogę... boję się — zaczęła szeptać te słowa raz za razem, z rękami przy twarzy.

Patrzyłam na nią chwilę, potem wyciągnęłam dłoń i pomogłam jej wyjść z wykrotu. W czasie tych kilku sekund podjęłam decyzję: schowam ją na strychu. Na tym samym, gdzie powieszono inną wariatkę, i będzie to tak, jakbym spłaciła jakiś dług albo wierzyła, że Rudi przestanie wtedy widywać jej ducha i krzyczeć.

Byłam zupełnie pewna, że ona nie zrobi mi krzywdy — oczy miała obłąkane, ale niegroźne — oczy, które przenikały

mgły innych światów, podczas gdy ona nie mogła sobie poradzić z tym, na którym żyła. Kiedy przyjrzałam jej się uważnie, dostrzegłam, że choć wydawała mi się stara, naprawdę nie ma więcej niż czterdzieści parę lat. Zrobiło mi się też głupio, że mówiłam do niej „ty” — nie dlatego zresztą, że była wariatką; sprawiło to zaskoczenie, ten wykrot, nagłe spojrzenie spod korzeni.

Szłyśmy po lesie parę godzin — wyprawiłam się daleko od domu, lubię to, lubię las i samotność. Kazałam jej potem czekać w ogrodzie — zrobiło się już ciemno i nikt nie powinien jej tam dostrzec. Nagle spodobał mi się ten szalony plan, szybko obmyślałam szczegóły, cieszyła mnie myśl, że przechrzę matkę, panią Taube i jej siostrę, że potrafię komuś pomóc. Może nawet najbardziej podobało mi się to, że nagle poczułam się silna — tamta kobieta była ode mnie zależna. Na górze było ciemno, co oznaczało, że wszyscy siedzą u nas w kuchni. Cicho przemknęłyśmy na strych. Biło mi głośno serce i śmiałam się do siebie. Powiedziałam, że przyjdę jutro i zostawiłam kobietę samą.

Potem, w czasie kolacji, przemyślałam swój plan jeszcze raz. Matka w czasie serii awantur z panią Taube, która była naszą kuzynką i właścicielką rozwalonego przez bombę domu (dlatego u nas mieszkała), ustaliła, że ona nie będzie chodzić na nasz strych. Leżały tam jabłka z ogrodu i inne zapasy — chodziło o to, żeby nic nie ukradła. Jej siostra i szwagier mieli identyczny zakaz. Matkę po całym dniu stania w czymś na kształt sklepiku, który sklecił unkel Bruno, bolały nogi i niechętnie wspinała się po schodach. Rudi miał sześć lat i bał się ducha powieszanej. Ja natomiast chętnie biegałam na strych, czy mnie tam posyłano, czy nie. Po prostu lubiałam tam posiedzieć sama. Mogłam tej kobiecie przynieść koc i kożuch po Annie; w pobliżu przewodu kominowego powinno być na tyle ciepło, żeby nie zamarzła. Nie będzie mogła się porząd-

nie umyć, ale od brudu jeszcze nikt nie umarł, a na ubikację dam jej wiadro, ale to też nic strasznego, zwłaszcza że wszystko by zamarzło i nie śmierdziało. Niech nas obie Bóg broni, jeśli matka czy pani Taube to odkryje — myślałam, kręcąc się niespokojnie przed zaśnięciem — ale to tylko trzy, cztery miesiące, a potem niech stąd idzie. Może naprawdę na wiosnę będzie jej lepiej i nie trafi znów do szpitala. Kuzyn Heini przysięgał, że pewną kobietę wsadzono do domu wariatów za kąpiel nago w jeziorze. Może i z tą nie jest tak źle?

Tej nocy miałam sen, w którym gwałciło mnie dziewięciu rosyjskich żołnierzy. Kiedy już to zrobili i chciał podejść do mnie dziesiąty, jakiś oficer z pistoletem w ręce oświadczył stanowczo: „Ona użę naješana” — i tamten go posłuchał. Potem oni zniknęli, a ja szukałam w szafie, w płaszczach, które tam wisiały, monet pochodzących z Fidżi, Indonezji, Mandżurii — widniały na nich łódzie, wulkany i kwiaty; zdaje się, że miały służyć jako lekarstwa, a ja byłam obolała i niezbyt przytomna. Obudziłam się z ulgą, ale długo nie mogłam zasnąć; musiałam jak zwykle myśleć o tym, co zdarzyło się naprawdę.

Pierwszy raz widzieliśmy Rosjan bardzo krótko — załomotali do drzwi, zapytali „Giermanca niet?” i poszli. Po dwóch dniach zjawili się ponownie, ale my uciekliśmy już do chlewika naszych sąsiadów: matka, ja i Rudi, bo Anna już nie żyła. Znaleźli nas tam i zaczęli gwałcić. Nie widziałam matki, słyszałam tylko nawet nie krzyki, a coś jakby syczenie, chrapliwe i przerywane. Pamiętam, że ręce miałam brudne i zmarzniete, a plecy całe mokre od lodu i śniegu, który Rosjanie wnieśli na butach do chlewika. Potem.... nie mogę, bo on znów jest nade mną... a gdy zaczął to robić drugi, dostałam ataku.

Padaczkę mam od urodzenia, ale pierwszy raz mi się

przydała, wyszła na dobre. Rudi, któremu nic nie zrobili, bo w końcu nie był dziewczyną, patrzył z kąta i mówił, że tamten ledwie skończył, to odskoczył i splunął. Pewnie, w ataku padaczki nikt nie wygląda przyjemnie. Najwidoczniej brzydzili się mną, może też nie wiedzieli, co to za choroba i myśleli, że mogą się zarazić; dookoła kobiet nie brakowało.

Zza płotu dobiegały krzyki Jutty, która jest nieco niedorozwinięta — prosiła, żeby ją zastrzelili zamiast gwałcić, ale nie posłuchali, widocznie gwałcenie dawało im więcej zadowolenia niż zabijanie. Kiedy atak przeszedł, było już po wszystkim — Rosjanie poszli, matka stała na nogach, choć trzymała się ściany, a Rudi wyjął mi z ust gałązkę, którą tam uprzednio wpakował — że też miał jeszcze głowę o tym pomyśleć... Pani Schandt też tam była i mówiła, że Heldze udało się uciec i gdzieś schować; o sobie nie wspominała, a my nie pytałyśmy. Matka wciąż przyklepywała i wygładzała niebieski fartuch, wybrudzony błotem. Spojrzała na mnie i wiedziałam, że mam nigdy jej o tym nie wspominać. Rudi też to zrozumiał i udawał, że nic nie widział i że w ogóle go tam nie było. Ostrożnie wróciliśmy do domu, był zdemolowany, ale cały i nasz. Chyba nie miało dla nas znaczenia, gdzie nas mogą znaleźć drugi raz. Ale pojawili się nieprędko i nie gwałcili, tylko ćwiartowali barana na kuchennym stole, wyjadali to, co udało nam się zdobyć do jedzenia i zagadywali do Rudiego.

Myślałam cały czas dużo o Annie, zastanawiałam się, czy to dobrze, że umarła i czy nie wolałabym być na jej miejscu. Mimo że miałam szczęście. Mimo że matka miała gorzej i jeszcze musiała dbać o mnie i Rudiego. Ale tęskniłam za Anną i jej snem w zimnym śniegu.

Anna jest (jest!) moją starszą siostrą. Pod koniec stycznia, kilka dni przed wejściem Rosjan, dostała zapalenia płuc. Bie-

gała po mieście, znosząc nam nowiny, gorączkowe i niepewne wieści, podszyte strachem niby lodowatym wiatrem. Było jasne, że zostaniemy, nie zostawimy domu, który mieliśmy od niedawna, że nigdzie nie pójdziemy w tę zimę. Ale kiedy Anna zachorowała, stało się to jeszcze bardziej oczywiste. Był mróz i śnieg skrzypiał pod nogami. Gdy patrzyłam na Annę pod kołdrami i kocami, myślałam, że jeśli wyzdrowieje (na pewno!), to może przeziębici się drugi raz, w tym swoim palcie. To była myśl — obsesja; z całą siłą, jakiej nie chciałam poświęcać na zgadywanie, czy będzie żyła, zastanawiałam się, w czym będzie chodzić, gdy będzie już zdrowa.

I w przerwie między jednym a drugim przyjściem Rosjan, gdy wyrzałam na ulicę, zobaczyłam blisko naszego domu leżącego człowieka w kożuchu. Był trupem. Podeszłam do niego i czułam, że muszę dotknąć tego kożucha. Pragnienie dotyku mrowiło, przeszywało mnie dreszczem od głowy do stóp. Podeszłam do trupa i niezgrabnie, modląc się, pocąc i bojąc boskiej kary, ściągnęłam z niego kożuch (człowiek leżał jeszcze długo, widziałam go bez butów, swetra, spodni, w końcu chyba go pogrzebano na wiosnę) i zaniósłam Annie.

Matka spytała obojętnie: — Skąd go masz? Ale nie czekała na odpowiedź. Przydał się na razie jako następna kołdra. Nic nie pomógł i Anna umarła w dzień przed tym, jak schowaliśmy się w chlewiku pani Schandt. Matka nie lubiła tego kożucha, choć parę razy go włożyła, taki był mróz, i mnie też kazała, kiedy musiałam wychodzić z domu. Ale gdy przyszło lato, schowała go i powiedziała komuś, że nie chce go więcej widzieć. Nie wyrzuciła, bo nie znosi marnotrawstwa, ale wiem, że miała na to ochotę. Może wreszcie odda ten kożuch albo przehandluje. Na razie za bardzo kojarzy się z Anną — może dlatego nienawidzi tej „pamiątki”, ale nie potrafi się pozbyć. Kradziony kożuch, a jest w nim tamta zima, pot Anny, lód.

Pochowaliśmy ją w ogrodzie, z wielkim trudem, a dopiero wiosną odbył się pogrzeb na cmentarzu.

Teraz kozuch przydał się tamtej kobiecie. Zniosłam go jej od razu następnego dnia, wyciągnęłam z szafy w pokoju, który był mój i Anny. Później zanosłam jej jedzenie — musiałam oszczędzać na własnym i bardzo uważać, kiedy coś podbierałam, więc nie było tego dużo. Czasami trochę cieplej wody i czyste szmaty, bo wariatka czy nie, ale jak każda kobieta raz w miesiącu miała okres. Wynosiłam wieczorami cholernie ciężkie wiadro. Robiłam to przez cztery miesiące i przyzwyczaiłam się, że ukrywam wariatkę. Było to dla mnie równie oczywiste jak fakt, że nazywam się Charlotte.

Jakiś czas wstydziłam się chodzić na strych tak jak przedtem: dla samotności, żeby się wypłakać, uspokoić po kłótni. Uważałam tylko, żeby nie zostawiać na wierzchu klucza. Matce mogło jednak przyjść do głowy, żeby samej po coś wejść na strych. Ale kiedyś nie mogłam już dłużej słuchać plotek, narzekań i uwag o tym, że jej nie pomagam i nie przejmuję się jej zdrowiem — tak jakbym nie robiła wszystkiego, co mi kazała, i sama nie była chora. Burknęłam, żeby przestała mówić, dostałam w twarz i poleciałam na strych.

Ta kobieta siedziała bez ruchu, zawinięta w kozuch i ani drgnęła, kiedy weszłam. Było diablo zimno, chciałam po chwili zawrócić, ale jednak przykucnęłam i spojrzałam na nią. Wyciągnęła rękę i starła mi łzy. Potem wpuściła mnie pod kozuch i ryczałam jeszcze trochę, ale czułam się już niemal przyjemnie. Śmierdziała potem, brudem, spalenizną i jakimś zakisłym tłustym zapachem, ale nie zwracałam na to uwagi. Nie mówiła nic; poklepała mnie po ramieniu i pozwoliła być obok. Uspokoiliłam się po paru minutach. Później polubiłam takie siedzenie przy niej. To była jakby osobliwa forma samotności — niemal nie odczuwałam jej obecności,

jedynie wynikający z niej spokój.

Zazwyczaj nie mówiła do mnie, czasem mruczała do siebie, nie tylko po niemiecku, ale i po angielsku, a nawet rosyjsku i po polsku. Pod koniec zimy odzywała się czasem do mnie. Na przykład mówiła, że widziała wróbla. Miała też dużo przytomniejsze spojrzenie. Bardzo intensywne i skupione, niemal dotykalne.

Myślałam czasem, że ona siłą spojrzenia odgania matkę, panią Taube, jej siostrę i wszystkich, których strych mógłby zainteresować do tego stopnia, że by ją odkryto. A także strzeże mnie, gdy niosę jej jedzenie lub wychodzę z wiadrem.

Nadszedł marzec, śnieg stopniał i w wieczornym wie-
trze czuć było głodną, słodką, dymną wiosnę. Odetchnęli-
śmy z ulgą, bo wkrótce można było przestać palić w piecu.
A z drewnem był nielichy problem — chodziliśmy na działki
rozbierać stojące tam domki, do lasu po gałęzie, oprócz tego
matka wdawała się w wyczerpujące rozmowy z wujkiem, któ-
ry umiał załatwić wszystko, ale bynajmniej nie przewidywał
dla rodziny ulgowych cen, unkel Bruno taki już był. Zniknął
z Alsten jeszcze przed poborem do Volkssturmu, przesie-
dział, jeśli wierzyć jego słowom, do kwietnia w ziemiance, po
czym wyszedł na świat i zaczął żyć po swojemu. Czyli han-
dlował z Rosjanami, miał benzynę, ruską machorkę, pił, ile
chciał, jeździł na panienki do Olsztyna, założył sklepik i po-
łowie miasta był absolutnie niezbędny; matka określała go
mianem „okropnego człowieka”.

Zrobiło się już całkiem ciepło, kiedy zapytałam swoją lo-
katorkę ze strychu, czy nie chce spróbować żyć jak człowiek.
Stwierdziłam, że nie będziemy mieć wiecznie takiego szczę-
ścia jak do tej pory; zgodziła się ze mną. Następnego dnia
odczekałam, aż matka wyjdzie, i zaprowadziłam Rudiego do
sąsiadki, gdzie mógł się bawić z dziećmi jej kuzynki. Pani

Taube z rodziną pojechała do krewnych do Landsbergu, żeby wy badać, czy mogą się do nich przenieść na stałe — nas mieli już serdecznie dosyć.

Zeszliśmy do łazienki, z otwartego okna wpadały do środka błyski światła jak cięcia krzywych szabel. Poszłam spalić brunatne wariackie szmaty w piecu, a ona się myła. Przyniosłam jej do ubrania to, co miałam — same rzeczy po Annie, bo moje były za małe, i jeden sweter ojca, grubszy i cieplejszy od innych. Ojciec poszedł do Volkssturmu i ślad po nim zaginął, przypuszczaliśmy, że jest w rosyjskiej niewoli.

Obciąłam jej strasznie długie i skołtunione włosy; o dziwo bez wszy. Słyszałam, że wszy opuszczają ludzi, którzy są bardzo wygłodzeni i słabi, może tak właśnie było z nią. Dałam szare mydło i nawet ocet do płukania. Patrzyłam, jak ostrożnie zmienia się w inną kobietę. Nie do odróżnienia na pozór od innych, krótkie włosy też nie zwracały wielkiej uwagi — widziałam tej zimy Polkę, która była w Ravensbrück i miała je wciąż ostrzyżone na zapałkę. Tylko w jej oczach pozostał ślad obłąkania z listopadowego lasu — utajony, maleńki ogień; spojrzenie palące i obce.

Przykucnęłam obok taboretu, na którym leżał sweter ojca i skubałam brązową nitkę; uczeplił się jej maleńki szary pyłek kurzu. Pomyślałam, że nie chcę, aby kiedykolwiek znów trafiła do domu wariatów. Pomyślałam, że tak naprawdę ukrywałam ją na strychu nie przez tamtą powieszoną ani dziki strach Rudiego, ale dlatego że mój ojciec pracował u nich jako pielęgniarz.

Nie wiedziałam dokładnie, na czym polegały jego obowiązki, niechętnie o tym wspominał, czasem tylko udało mi się podsłuchać jego rozmowę z matką. Ale wystarczały te słowa: „pielęgniarz w szpitalu dla psychicznie chorych” i myśl o tym, że przydawały się tam jego twarde pięści. Tymcza-

sem kobieta ze strychu obcinała sobie paznokcie, uprzednio mocno poobgryzane. Jej szczupłe dłonie wyglądały na silne i zdecydowane; piwne oczy w siateczce cieniutkich zmarszczek były spokojne i dalekie. Ale kiedy odezwała się do mnie, jakby wróciły do świata.

— Nie lubię brązowego — oświadczyła i usłyszałam jej śmiech. Trzepotał w powietrzu jak wróbel rzucony weń po długiej przerwie w lataniu. — Ale to są po prostu — śmiała się dalej — złe dobrego początki. Daj mi lusterko, dobrze? — popatrzyła uważnie w swoje odbicie.

— Od roku nie widziałam swojej twarzy — wyjaśniała mi, czemuś zawstydzona tym gestem. — Bałam się spojrzeć w szybę tam na strychu. Możemy wyjść na dwór, jak myślisz?

Nie było jeszcze na tyle ciepło, żeby chodzić w samym swetrze, więc narzuciłam jej kożuch na ramiona. Brak innego okrycia matka zauważyłaby na pewno; i tak się bałam, że zauważy na niej znajome rzeczy. Uprzedziłam tę kobietę, której imienia ani nazwiska ciągle jeszcze nie znałam, żeby unikała spotkania z nią. Buty miała całe, też wojskowe jak płaszcz, którego nie mogłam spalić, więc wyrzuciłam w krzaki, gdy odeszłyśmy dalej od domu. Poszłyśmy bez celu, ulicą w dół, w stronę końca miasta. Słońce — jasne plamy na domach i twarzach, żółte piórka wróbla skryte w brązie skrzydełek, koński gnój i pączki na lipach. Stanęłyśmy na rozchwianym mostku ponad mizerną rzeczulką i zapatrzyłyśmy się w nurt. Potem zapytałam:

— Co teraz zrobisz? Przepraszam, powinnam mówić nie „ty”, ale „pani” — zreflektowałam się.

— A, niech tak zostanie. Co zrobisz? — z zawiniątką w szmatach wyjęła kopertę, a z niej kilka dokumentów. Metryka urodzenia, świadectwo ukończenia szkoły i kursu dla maszynistek. Wszystko na nazwisko Emilii Krukowskiej. Nie

znałam wtedy prawie wcale polskiego, ale znaczenia tych dokumentów łatwo się domyśliłam.

— Jesteś Polką? — spytałam.

— A skądże — odpowiedziała. — Zresztą, może i tak. Mniejsza o to. Co prawda te papiery istotnie nie są moje. Należały do kobiety, która leczyła się tam gdzie i ja. Tak je kochała, tak szalała, gryzła i kopala, gdy nie mogła ich oglądać i chwalić się nimi, że pozwolono jej trzymać je przy sobie. Ostatecznie papier jest nieszkodliwy. Kiedy zbliżali się Rosjanie, ta mądra kobieta umarła, a ja schowałam jej dokumenty. Była dwa lata starsza ode mnie, zdjęć tu nie ma. Na maszynie pisałam dwadzieścia lat temu, ale mam dobrą pamięć i szybko powinnam sobie wszystko przypomnieć. Ostatecznie w czasie wojny mogłam robić coś innego, prawda? — mówiła i łamała suchą gałązkę, której kawałki upuszczała na wodę. Ta, brunatna i szybka, niosła suche liście, patyki, martwego ptaka, jak pamięć obciążona rzeczami niegdyś żywymi.

— Myślisz, że to wystarczy? — bałam się, że popełni błąd, że za bardzo jeszcze tkwi w domu wariatów albo że przypadkiem oszustwo się wyda. Poradzę sobie. Muszę znów liczyć tylko na siebie. Im szybciej, tym lepiej. Pójdę do ratusza (ostatnio opowiadałam jej, jak teraz wygląda życie w mieście) i zapytam o pracę, zamelduję się, opowiem zmyśloną historijkę o tym, co się ze mną działo do tej pory. Nie wiem jaką, wymyślę po drodze. Znajdę jakieś mieszkanie. Zobaczysz, że tak będzie. Oddam ci ten kozuch, jak tylko będę miała inne ubranie — dodała.

Skończyła z gałązką i podniosła na mnie nieruchome oczy; jakby nagle zatrzymała się szybka woda pod nami. Przenikliwe i nieprzyjemnie zaglądała mi w duszę. Miałam wrażenie, że odetchnęła z ulgą. Potrząsnęła głową, wyzbywając się chyba resztek dawnych złudzeń.

— To jak masz naprawdę na imię? Emilia? — oddałam jej papiery, które włożyła mi przedtem do ręki.

— Możesz na mnie mówić Emily, jeśli wolisz — odparła. Wiedziałam, że nie wygram z nią i zrezygnowałam z dalszych pytań.

— Jeszcze dwie sprawy — powiedziała. — Jak ty masz na imię?

— Charlotte. — Miałam ochotę zaproponować jej, żeby nazywała mnie dowolnym imieniem. Własne zmieniła przecież bez wahania.

— Charlotte. No i spotkałyśmy się — spojrzała daleko poza mnie.

— Co?

— Nic — zamilkła i owijała w szmaty swoje cenne dokumenty.

— Jeszcze ci bardzo, bardzo dziękuję — odezwała się z uśmiechem tak ciepłym, że mógłby topić śnieg. Ja też stopniałam. Chyba nikt się tak do mnie nie uśmiechał, nikt... — Będę ci wdzięczna do końca życia. Możesz być tego granitowo pewna — uzupełniła.

Nagłym ruchem podała mi rękę. Przelotny, suchy dotyk. Skrzyżowała ręce na piersiach, spoglądając na linię domów przy widocznej stąd ulicy. Poszła tam szybko, rzucając mi jeszcze niedbałe Auf Wiedersehen i wydawało mi się, że idąc zapomina z każdym krokiem ziemiankę, listopadowy las, strych, a może i inne, gorsze rzeczy. Zniknęła mi z oczu już w mieście.

Przez najbliższych kilka tygodni niewiele o niej rozmyślałam. Miałam dość roboty w domu. Chodziłam też na kurs, gdzie uczono nas polskiego. Wieczorami usiłowałam zrozumieć gramatykę tego języka i zasypiałam w połowie jakiegoś

zdania. Matka, kiedy zastawała mnie przy tej nauce, zawsze sarknęła na podłe czasy, ale nie przeszkadzała mi, zdając sobie sprawę, że to, co robię, jest koniecznością.

— Irma zapomniała już niemieckiego — obwieściła któregoś wieczoru. Obserwowała mnie ze złością, jak czytałam z zeszytu, jedząc zarazem zupę. — Odezwałam się do niej na ulicy, a ona zaczyna gadać po polsku — zwróciła się do pani Schandt (naprawdę nazywała się po mężu Maslinski, ale były koleżankami jeszcze ze szkoły, a przy tym matka nie cierpiała tego męża i trochę z przyzwyczajenia, a trochę z tej niechęci zawsze używała jej panińskiego nazwiska). — Co to się z tymi ludźmi porobiło! I w ogóle... wszystko nam pozabierali, doprowadzają ten kraj do ruiny, rządzą się na cudzym. Polacy! Czego ja dożyłam! To po to mąż mi gdzieś zginął, Walter zamarzył pod Stalingradem, po to, żeby oni tutaj wleźli i zachowywali się jak wielcy panowie? Złodzieje, hołota i bydlę. Nawet o to, co ukradli, nie potrafią dbać, wszystko tylko psują i niszczą. Kozy pasą i taka ich gospodarka — matka w zapale uderzyła dłonią o stół. Waltraud milcząco przytakiwała, kiwając tylko głową nad szyciem.

Wspomnienie ojca i wuja Waltera sprawiło, że zagryzłam usta. Do wuja nic nie miałam, żywego czy umarłego, ale nie chciałam, żeby ojciec wracał. Nigdy. Niechby sobie żył cały i zdrowy w Berlinie czy Tokio, byle daleko od nas. Nie znęcał się nade mną, choć z powodu padaczki uważał mnie chyba za słabą na umyśle. Bił czasem matkę, ale nieczęsto i nie na oczach dzieci; wołał lekkie, drażniące uderzenia pod kolano, gdy prasowała czy gotowała. Wnosił ze sobą, na twarzy i dłoniach, starte na proch krzyki wariatów, nieuchwytnie śmierci, wstrętny zapach tamtego miejsca.

Śmiał się czasem, gdy był w dobrym humorze i opowiadał anegdotki o wariatach, zacierał wtedy ręce, a jego oczy nie-

świadomie ukazywały ich nienawiść. On też ich nienawidził i nie potrafił tego ukryć w milczeniu lub zabawnych historyjkach. Może umiał oszukiwać matkę, Annę, innych ludzi, ale nie mnie i chyba nie Rudiego, choć to jeszcze dziecko. Rudi nigdy nie chciał iść do ojca, gdy ten wracał prosto z pracy.

Zamarłam nad zupą i matka trąciła mnie w ramię.

— A ta znów uczy się tego ich sz — cz po całych dniach — burknęła.

— Co mam robić innego? Przegraliśmy wojnę, mamó, i teraz musimy znać polski, i żyć z Polakami, a nawet z ich kozami. Poza tym — przecież Hitler zaczął wojnę, nie Polska. I tylu ludzi zabito, wcale nie na froncie tylko w obozach, całe miliony. Pewnie, że teraz Polacy rządzą. Niemcy robili gorsze rzeczy na ich ziemiach. Lepiej się pogódź z tym, że jest, jak jest, mamó — poradziłam, nie mogąc ścierpieć jej powtarzających się co wieczór narzekań. Pani Schandt zacięła usta i spojrzała na mnie z niechęcią. Karcenie zostawiła jednak matce.

— I to moja córka mówi! Włóż im w dupę, tym Polakom! — zdenerwowana, pozwoliła sobie na wyrażenie, które u mnie tępiła. — Zobaczysz, że jeszcze nam zabiorą to, co zostawili Rosjanie. Czy ja jestem winna tej wojnie, czy ja kogoś zabiłam? Cała bieda stąd, że Hitler przegrał. A te obozy i inne zbrodnie to sowiecka propaganda. Trochę różnych mętów zapędzono wtedy do pracy i tyle. Nie wierz tym ich bzdurom.

— Gabi też jest bzdurą? — spytałam.

— Kto? — zdziwiła się matka.

— Gabi, mamó. Chodziłam z nią do szkoły, dawno temu, w pierwszej klasie. Lubiłam ją, bo mnie nie zaczepiała i nie śmiała się, że mam ataki. Nawet przyszła do nas raz do domu. A potem okazało się, że jest śmierdzącą Żydówką. Sama tak powiedziałaś — „i myśmy tę śmierdzącą Żydówkę wpuszcili

do domu”. Później tłumaczyłaś mi, że wyjechała z rodzicami. Nie tylko ona, prawda? Wywieźli ich do specjalnych obozów i zagazowali. Z wszystkimi Żydami tak zrobiono. I nikomu to nie przeszkadzało. Tobie, ojcu, wujowi Walterowi, nikomu to nie przeszkadzało. Słyszysz?

— Nie drzyj się. Skąd to wiesz, znów od Polaków?

— Heini mi powiedział. Śmieszyło go, że było mi jej żal. Wszyscy wiedzieli, tylko przed głupimi dziećmi takie rzeczy ukrywano, prawda? (Heini to mój kuzyn, dziesiąta woda po kisielu).

— Heini nagała ci głupstw. Zresztą komu byli ci Żydzi potrzebni? Niemcy nie były i nie są krajem dla Żydów, tylko dla Niemców. Po prostu ich wypędzono, po co zaraz gadać o komorach gazowych?

— W takim razie teraz my jesteśmy tu niepotrzebni, bo tutaj jest już Polska. A komory gazowe były, mam, wiem, że były, ani Heini nie kłamie, ani Polacy. Ty kłamiesz. A poza tym babcia była Polką i przestańmy się uważać za takich cholernych Niemców! Wcale nie wiem, czy chcę być Niemką po tej wojnie!

Dwa szybkie uderzenia w oba policzki. Matka wstała i oświadczyła chłodno: — Nie odzywaj się do mnie, póki mnie nie przeprosisz. Zawsze uważaliśmy z ojcem, że trzeba cię ulgowo traktować, bo przez tę swoją chorobę nie jesteś całkiem normalna, ale tego, co powiedziałaś przed chwilą, to ja ci nie daruję. Idź do swojego pokoju i się ucz — ostatnie zdanie wymówiła z lodowatą ironią.

Tak bardzo chciałam wyrzucić z siebie wszystko to, co podsłuchałam, czego dowiedziałam się na ulicy czy na kursie, co tałam — jak sprawę z Gabi — czasem całe lata, że ulga przeważała nad wściekłością. Matka nie wiedziała, nie mogła wiedzieć, o czym myślałam od zeszłej wiosny, odkąd

pojawił się tu Polacy i nagle wojna, kojarząca się ze śmiercią znajomych mężczyzn i komunikatami w radiu, zaczęła przekształcać się w jakąś nieopisaną makabrę. Odkąd słowo „Niemcy” słyszało się tylko wypowiedane z nienawiścią i pogardą, odkąd stało się najgorszym wyzwiskiem.

Poszłam się uczyć. Na górze Heini krzyczał coś do swojej dziewczyny. Pojawił się niespodzianie dwa tygodnie temu, miał fałszywe dokumenty i oświadczył, że na razie zamieszka u nas. Jego rodzice wyprowadzili się na wieś do rodziny, ale on chyba nawet ich nie odwiedził. Matka chciała mieć w domu mężczyznę, więc się zgodziła. Heini od razu sprrowadził sobie dziewczynę, nie wiadomo skąd miał pieniądze, wbrew umowie nie płacił matce za obiady i robił głupie uwagi pod moim adresem. Do rozpalonej policzkami od matki głowy nie chciały mi wchodzić polskie słowa. Kładąc się spać i nie śpiąc długo w noc, wciąż myślałam o ojcu, o niej, o Gabi, o wszystkim.

Kwietniowe błoto wlewało mi się do butów, ale stanęłam naraz w środku kałuży. Patrzyłam na tę kobietę (och tak, powinienam myśleć o niej Emilia, ale to imię zawsze mi się wymykało). Siedziała z jasnowłosą dziewczyną przy wyniesionym do ogrodu stole i, dotykając palcem otwartej książki, coś jej tłumaczyła. Była piękna pogoda. Po nocnym deszczu zostały nie tylko kałuże, ale i drzewa — zielone nimfy obsypane mieniącymi się kroplami. Tulipany jak gardła ptaków rozwarte do śpiewu. Podniosła głowę i spojrzała przeze mnie, potem znów zajęła się dziewczyną.

Pomyślałam, że udało się jej, że zapomniała o wstydzie i bólu jak moja matka, a raczej stwarza pozory, że zapomniała. Spaliła wariatkę na stosie, pozwoliła, by dopadł jej rosyjski żołnierz. Poszłam dalej, musiałam przygotować obiad, obraza matki nie zwalniała mnie od pracy.